

Historia się powtarza, gdyż natura ludzka nie zmieniła się od owych czasów. Kiedy po wielu latach znalazłem się na białych skałach Aeropagu, ogarnęło mnie wzruszenie, że jestem dokładnie w miejscu, gdzie odbyła się jedna z największych tragedii w dziejach ludzkości, równa chyba tylko krucyfikacji, gdzie wydano wyrok na Sokratesa i na pierwszą w świecie demokrację.

Kiedy zostałem uczniem VII Gimnazjum Neoklasycznego, było to już po wojnach i profesorami byli albo panowie w wieku emerytalnym, albo młodzi ludzie, którzy przyszli jeszcze w mundurach. Jednym z największych oryginałów był prof. Gawlikowski, polonista.

Postać nad wyraz komiczna. Grubawy pan, łysy, z sumiastymi wąsami, zawsze ubrany w czarny płaszcz, w meloniku, z grubą laską lub parasolem. Zawsze też w zbyt dużych kaloszach, którymi, idąc, człapał. Jego lekcje mogłyby być często przedmiotem zainteresowania jakiegoś cenzora, niemniej były one bardzo rozweselające. Kiedy człapiąc kaloszami wchodził do klasy, wszyscy głośnym mumurando skandowali do taktu: „jedzie, jedzie, jedzie”. Kiedy wchodził na gradus, na którym stała katedra, chór powiadał „całujączeki”, na co Gawlik, bo tak go nazywano, odwracał się do klasy i odpowiadał: „pocałuj mnie...”.

I tak rozpoczynała się lekcja.

Kiedyś, przy czytaniu „Trylogii”, przy słowach: „i leciały pod nogi hetmana buławy”, ktoś, aby zilustrować to dźwiękowo, rzucił polano, które potoczyło się po podłodze. Gawlik zerwał się i złapawszy lagę ryknął: „który to?” Na to ktoś z klasy odpowiedział: panie profesorze to Klaffen. „Wierzę ci” – ryknął Gawlik i pognął na koniec klasy, gdzie między ścianą a piecem siedział Klaffen, nie mając możliwości ucieczki. W tej chwili widać było tylko nękającego pod ławką Klaffena i stojącego nad nim i wywijającego lagą Gawlika. Wtedy cała klasa unisono zaczęła wołać: „nie bij, nie bij”, na co Gawlik opuścił lagę i mrużąc pod nosem jakieś niecenzuralne epitety, poczłapał z powrotem na katedrę.

Przypominało to jakiś surrealistyczny balet i było widocznym źródłem uciechy zarówno dla klasy jak i dla profesora.

Był on jednak doskonałym polonistą, a takie epizody okraszały wykładany przedmiot jak rodzyнки placek.

Na końcu każdej lekcji była zawsze modlitwa. Jednego dnia Gawlik warknął: „Gottesman módl się!” Ktoś z klasy bąknął: „ta, panie profesorze, ta on jest Żyd”. „Stul ...”, Gottesman módl się” i biedny Gottesman, choć się nie przeżegnał, odmówił „Ojczy nasz”, które tak wiele razy słyszał. Najdziwniejszy jest fakt, że później Gottesman wychrzcil się, ale nie miało to związku z jego przymusową modlitwą, tylko ze „sprawą sercową”.)

Religii uczył poczciwy ksiądz Bielówka. Zawsze żalił się przed nami, że nie czuje się dobrze w mieście. Pochodził ze wsi i rozumiał prostoduszność chłopów. Jednym z naszych standardowych kawałów były diabełki. Diabełki wycinało się z sukna i smarowało kredą. Kiedy ksiądz przechodził, rzucano się diabełką na sutannę. Oczywiście sukno odpadało, ale pozostawała kreda i ksiądz paradował z diabłami na sutannie.

Ponieważ w gimnazjum był duży procent Żydów, mieli oni swojego nauczyciela religii, któremu też robili

kawały. Jednym z najpaskudniejszych kawałów było wysmarowanie kapelusza od wewnątrz klejem, a ponieważ nosił on perukę, efekt by oczywisty.

Nie było różnic religijnych. W każdą niedzielę na chórze kościelnym, w kościele św. Mikołaja śpiewał Tunek Dzieduszycki, a na skrzypcach przygrywa Wisznovic, Żyd, polska szlachta, polski lud.”)

Jednym z najbardziej lubianych pedagogów był prof. Zygmunt Reiss, były legionista z Pierwszej Brygady. Był on także naszym przywódcą kulturalnym. Organizował rewie i pisał do nich piosenki. Rewie te miały dobry poziom. W latach 20-tych powstał w rządzie polskim groteskowy projekt starania się o poniemieckie kolonie w Angoli. Oczywiście, my Polacy, nigdy nie staraliśmy się być kolonizatorami i projekt ten dla wielu z nas wydawał się śmieszny. W rewii zatem zorganizowaliśmy balet, w którym tańczyły Murzynki w krakowskich strojach, śpiewając: „hej, my sobie jacy tacy chłopcy Angolacy”.

Tenorem był zawsze Tunek Dzieduszycki, konferansjerem Kazio Związek, który raz w czasie programu, kiedy ktoś z ostatnich rzędów upomniał się: „głośniej!”, odpowiedział: „ta panie, ta musi być jakaś różnica między biletem za złotówkę i za dwa złote!”

Ja malowałem zwykle dekoracje z Karolem Baranieckim, po którym pozostały po II wojnie, dwa charaktery”: Bolek i Lolek, w popularnych kreskówkach. Nie naśladowaliśmy Zachodu. Mieliśmy nasz własny humor.

Wychodząc z Sokoła w kierunku ul. Akademickiej, mijamy budynek Konserwatorium Muzycznego, który mieścił też kino „Apollo”. Na rogu Akademickiej był elegancki lokal „śniadankowy” pani Teliczkowej, patrycjuszki lwowskiej, o okazalych proporcjach.

O tragicznym wypadku, który zdarzył się w czasie popisu akrobatycznego „człowieka-muchy”, właśnie pod lokalem pani Teliczkowej, napisał popularny bard uliczny „Buwałtyzdorowa”.

*„Przyjechał do Lwowa sławny człowiek Mucha  
Wziął na Teliczkową i wyzionął ducha”.*

A Tunka Dzieduszyckiego widuję czasami w telewizji i to bodaj jedyny z moich szkolnych kolegów, o którym wiem, że jeszcze żyje.

Tyle z lamusa mojej pamięci

## Część II

15 czerwca, 1995 r.

Ulica Akademicka, czyli tzw. Corso, było ulubionym miejscem dla spacerów młodzieży lwowskiej. Wieczorem można było tu spotkać wszystkie panny na wydaniu i kawalerów do wzięcia, usłyszeć wszystkie plotki i nowości, a także zawrzeć wszelkiego rodzaju znajomości. Na Akademickiej mieściło się Kasyno Literackie, w którym odbywały się różne imprezy kulturalne, najelegantsze bale i zabawy. Jednym z wydarzeń roku poza Sylwestrem był Bal Ormiański.

Ormianie mieli stare tradycje we Lwowie. Mieszkali tu od wieków, mając własną katedrę z XIV wieku, nazwiska jak Szymonowicze, Agopsowicze, Stafanowicze, Teodorowicze, Moszorowie, Barącz były dobrze zapisane w kronikach Lwowa.

Na początku był plac Fredry z pomnikiem hr. Aleksandra Fredry, znakomitego komediopisarza. Na rogach ul. Fredry zaczynającej się na wprost pomnika, mieściły